

BRAZYLIA

Jest takie miejsce pod Salvadorem, między dwiema bojami kardynalnymi, które nazywa się Banco de S Antonio. Jest to po prostu spora mielizna, ale że głębokości nie spadają tam poniżej trzech metrów, więc możemy tamtędy bezpiecznie płynąć, skracając sobie drogę do zatoki, w której mieści się miasto. I marina oczywiście.

Płynąć... Dobre słowo. Bo my stoimy. Silnik na minimalnych obrotach, włączony tylko na wszelki wypadek, posuwamy się z prędkością ok. 1 kts. Popatruję na wskaźniki prędkości i sondę, bo to jedyny widok, jaki mamy. Niby jesteśmy zawinięte w sztormiaki, ale woda i tak wciska się wszędzie – ścieka do wewnątrz, na ubrania i kapie z nogawek. Leje. Wiatru nie ma. Widoczność nie większa niż 50 m. Dryfujemy po mieliźnie, mając nadzieję, że tutaj chociaż żaden statek nas nie rozjedzie.

- Czy podać szampon i mydło Małgorzato? Należy chyba wykorzystać darmowy prysznic ze słodkiej wody.

Gosia już chyba nawet nie ma siły się uśmiechnąć. Jest zła. Nie dość, że spóźniłyśmy się na karnawał i ostatnie parady o jeden dzień, to jeszcze dryfujemy tuż pod Salvadorem, parę mil zaledwie od bezpiecznego i przede wszystkim suchego schronienia.

- W środę popielcową posypuje się głowy popiołem, a nie polewa wiadrami wody. To nie lany poniedziałek do licha.

Nagle niebo po naszej prawej burcie odrobinę się przeciera. W oddali zarysowują się sylwetki wieżowców. I kolejnych. A potem z deszczu wyłania się latarnia morska. Gdyby świeciło słońce, wyglądałaby zupełnie jak z ilustracji bajki dla dzieci – okrągła wieża w białą – czerwone pasy, stojąca na maleńkiej, zielonej wysepce, otoczonej skałami. Wołam na UKF-ce „Mantrę Asię” – dziewczyny stoją w marinie już od wczorajszego wieczora.

- Hej dziewczyny! Widoczność nieco się poprawiła, więc dajemy po garach i próbujemy przeskoczyć.

Gdy mijamy latarnię, zza niej wyłania się potężna scena, oświetlona silnym światłem. Dobiega stamtąd muzyka. Jako jedyne mamy szansę podziwiać karnawałowy szal prosto z morza.

- He, he, chyba zdążymy jeszcze na ostatnią paradę karnawałową w Brazylii! - cieszymy się z Gosią. Humory natychmiast nam się poprawiają. A naszym oczom ukazuje się kawałek po kawałku Salvador da Bahia – to nic, że za ścianą nieustającego wciąż deszczu wydaje się być ponury i szary. Bo jakże jest różnorodny...

Salvador przypomina nieco szafę kawalera. Z przodu, od strony oceanu, eleganckie garnitury w postaci nowoczesnych, strzelistych wieżowców. Niektóre z nich są tak wąskie, że aż trudno uwierzyć, że mogą stać „o własnych siłach”. Im głębiej jednak wpływamy w zatokę, tym zabudowa staje się niższa, starsza, „używana” – jak coraz starsze koszulki i postrzępione dzinsy, których już się prawie nie nosi, bo w pewnym wieku nie wypada, ale sentyment zabrania się ich pozbyć. Na stromym brzegu, jedno nad drugimi, pojawiają się małe, kolorowe domki, pooddzielane jedynie wybuchami soczystej, głębokiej zieleni. Są poustawiane tak gęsto, że sprawiają wręcz wrażenie muru, zbudowanego z klocków Lego w pastelowych

odcieniach, który ktoś pochłapał zieloną farbą. Z daleka widać, że jest to zaniedbana i częściowo opuszczona dzielnica biedoty, jednak oglądana z morza nie sprawia ponurego wrażenia, nawet mimo szarawej aury.

Dość jednak o brzegu, bo nie mijają dwie godziny, a my cumujemy już w marinie położonej w samym centrum miasta, witane radosnymi okrzykami Asi i Ewy. Ledwie udaje nam się dokończyć manewr i zrzucić mokre sztormiaki, sztormiaki przed nami wyrasta komitet powitalny – Andrzej i Renata. Witamy się jak zawsze radośnie i serdecznie. To naprawdę miłe, po czterech tygodniach na oceanie, z jednodniową zaledwie przerwą na postój na Św.Helenie, zobaczyć znajome twarze. A jakby tego było mało, Andrzej przywozi nam paczki i listy z domów. Pełnia szczęścia.

Etap z Południowej Afryki do Brazylii był jednocześnie moim pierwszym w życiu doświadczeniem kapitańskim. Co prawda zdarzało mi się wcześniej prowadzić rejsy szkoleniowe po Zatoce Gdańskiej, ale moje obowiązki w załogach regatowych nie pozwoliły mi nigdy jako skipperowi opuścić wód osłoniętych. Andrzej zadaje więc podchwytliwe pytanie:

- I jak, dużo płakałaś?

- Ja?! Wolne żarty... - dąsam się. Ale odpowiadam szczerze, bo jak tu płakać, gdy dookoła ma się ocean?

Nie dostajemy nawet chwili wytchnienia, Andrzej natychmiast każe nam się przebrać i ruszamy na podbój miasta.

Marina rzeczywiście umiejscowiona jest w samym centrum. Przechodząc przez bramę trafiamy prosto w podwoje Mercado Modelo – największego targu pamiątek, lokalnych instrumentów muzycznych, kolorowych ubrań, biżuterii. Jest tu wszystko, począwszy od delikatnych, artystycznych, ręcznych wyrobów lokalnych, po plastikową tandetę „Made in India”. W środku budynku i na ustawionych przed nim straganach tłok panuje taki, że prawie nie da się przejść – są to oczywiście głównie turyści, ewentualnie Brazylijczycy przybyli z okolicy na karnawał. Ceny odstrasząją.

- Poczekajcie. Jutro, pojutrze nie będziecie mogły uwierzyć, jak tu jest tanio. Poza tym zwyczajem jest ostre targowanie się o każdy kupowany przedmiot – uśmiecha się Andrzej. Przechodzimy przez ten najbardziej kolorowy z kolorowych i najgłośniejszy z głośnych bazar, gdzie sprzedawcy łapią przechodniów za ręce, włosy, a czasem i za nogi, byle tylko przyciągnąć uwagę do sprzedawanego przez siebie towaru. Po drugiej stronie targowiska czeka nas niespodzianka.

Oto wyjaśnia się tajemnica strzelistej, białej budowli, którą rano widziałyśmy z jachtów, a która usytuowana jest vis – a - vis mariny i wygląda, jakby klinem wbijała się w zielone zbocze – to Elevador Lacerda – winda łącząca dwa poziomy miasta. Za 5 Centavos, czyli odpowiednik naszych siedmiu groszy, zabiera nas z kolorowego targu na stare miasto – dzielnicę tańca, zabawy i oczywiście jedzenia. A trzeba przyznać – jesteśmy głodne. Nie jest to, co prawda, głód dyktujący kiszkom rytm marsza, ale głód nowych smaków, świeżego jedzenia, głód czegoś, co nie byłoby wyjęte z puszki i podgrzane. Andrzej i Renia prowadzą nas pewnym krokiem wśród wąskich brukowanych uliczek i oto jesteśmy – małe schludne wnętrza i przy jednej ze ścian szwedzki bufet, a w nim... wszystko, czego dusza, czy też raczej spragnione ciało, zapagnie. Sałatki, surówki, dania mięsne, rybne,

nieznane nam dodatki, soki wyciskane ze świeżych owoców, których nazwy pozostają dla nas tajemnicą. Kuszą, nęcą, kolorami, zapachami. Raj. A na deser sok pity prosto ze skorupy świeżego kokosa, kupiony od ulicznego sprzedawcy. Świat mógłby się na chwile zatrzymać w tym błogostanie. Ale kula ziemską obraca się dalej. Salvador jest miastem, które zapewnia doznania wszystkim zmysłom. Ruszamy w dzielnicę Pelourinho, w brukowane uliczki i stare kolonialne zabudowania. Ulice wciąż jeszcze zdobią podobizny roztańczonych Baianas – mieszanek regionu Bahia, którego Salvador jest stolicą. Są to miejscowe piękności ubrane w tradycyjne, kolorowe suknie o białych spódnicach, tak rozłożystych, rozłożystych wyglądają, jakby były noszone na krynolinie. Wiele tak ubranych kobiet spotykamy też na ulicach. W tej staro kolonialnej zabudowie sprawiają wrażenie, jakby zostały żywcem przeniesione z dawnej epoki. Czas staje w miejscu. Rzeczywistość powoli się odrealnia.

Zagęszczenie kościołów przypadających na metr kwadratowy tej dzielnicy jest chyba największe na świecie. Monumentalne świątynie w stylu iberyjskim spotyka się tu co pięćset metrów. Niestety ze względu na karnawał nie można zwiedzić ich wnętrza – są pozamykane i pozabijane dechami, chronione przed karnawałowym tłumem.

Szokujący jest fakt, że fasady domów, kościołów i klasztorów są z reguły odnowione i pomalowane na jaskrawe kolory, lecz gdy spojrzeć w ich okna, nieraz widać tylko pustkę. Im głębiej wchodzi się w miasto, tym więcej widać spalonych budynków, straszących pozawalananymi dachami, piętrami, ścianami i gruzowiskiem wewnątrz. Tyczy się to nie tylko starego miasta, ale i nowoczesnych budynków, w pobliżu dzielnicy portowej, gdzie niegdyś musiały mieścić się niezliczone biura i przestronne mieszkania. Miasto sprawia wrażenie, jakby 70% zabudowań spłonęło i nigdy nie zostało odbudowanych. W przewodniku czytamy, że ostatni wielki pożar miał miejsce w 1984 roku. Czyli w roku moich narodzin, ponad dwadzieścia lat temu. Miasto musiało być wtedy niezwykle bogate. Ciekawe dlaczego zabrakło mu sił, by podnieść się z tej klęski. Czy zabrakło serca, czy po prostu środków, by podźwignąć rannego kolosa. Teraz Salvador ma drugą, smutną, pooraną twarz, jakże różną i o ile prawdziwszą od barwnej maski pokazywanej turystom.

Pierwszy znak to informacje udzielane nam przez szefa mariny. Bruno – mieszkający tu od lat Francuz, biegle władający kilkoma językami, czyli jedyna osoba w okolicy, która posługuje się językiem angielskim i przy okazji kopalnia lokalnej wiedzy, wyjaśnia: - Co krok będziecie proszone o pieniądze, szczególnie w Pelourinho, ale niech wam nie przyjdzie do głowy dawać je komukolwiek. Wszystko to idzie na narkotyki. W tej okolicy AIDS i HIV to istna plaga, kwitnie handel wszystkimi możliwymi truciznami oraz prostytutka – również wśród dzieci.

Na dole, w dzielnicy portowej nie ma żebraków, ale za to wszyscy kantuja na potęgę. W tej części miasta, poza jedną maleńką dziuplą, nie ma właściwie niczego, co można by nazwać sklepem spożywczym. Idziemy więc do dziupli, kupić jakieś chłodne napoje. Sprzedawczyni patrzy na mnie spode łba i szepcze coś do swojej koleżanki, po czym bez mrugnienia okiem śpiewa cenę za butelkę napoju z guarany – 6 Reali.

- Czy pani się rozum w tym upale pomieszał? 10 zł za butelkę napoju?! – wypalam po polsku, wiedząc, że i tak nie ma sensu pytać, czy może mówi ona po angielsku. Ale nie ma dyskusji – to ostatni napój w lodówce. Zaczynam się zastanawiać, czy ekspedientka widząc, jak się zbliżamy, nie pochowała reszty napojów w jakimś kącie.

Niestety upał to nie tylko nasze pragnienie. To też wszechobecny smród, tak

charakterystyczny dla strefy międzyzwrotnikowej. Cuchnie wszystko – rozkładające się odpadki, gnijące owoce na straganach, uryna w zaułkach i przede wszystkim tłum. Wytrzymanie w miejskiej windzie w godzinach szczytu graniczy z cudem. Towarzyszący oczekującym w kolejce ludziom fetor i zaduch aż dusi, odbierając chęć funkcjonowania. Człowiek ma wrażenie, że zaraz zabraknie mu powietrza. Najbardziej cuchną nienawykli do tej temperatury turyści, z których gęsty pot ścieka tłustymi strużkami, wymieszany z tonami olejków do opalania. Biali ludzie, na wpół już zdechli w skwarze dnia, tworzą żywy kontrast dla pięknych młodych Brazylijek. Zadbane, smukłe, gibkie, z warkoczykami na głowie, fantazyjnie poubierane. Szkoda tylko, że tak szybko się starzeją. Kobiety po trzydziestce widocznie przybierają na wadze lub odwrotnie – wysychają na wiór od nadmiaru używek. Mężczyźni, czy młodzi, czy starsi nie są może szczególnie urodziwi, ale wyglądają interesująco, obwieszeni koralami gęściej niż kobiety i noszący dredy nieraz sięgające do pasa. Wysportowani, jakby wszyscy trenowali Capoeirę.

Capoeira – pokazy tego tańca, przypominającego bardziej sztukę walki na modłę azjatycką, przyciągną wzrok każdej kobiety. Nieistotne są tu twarze tancerzy, najistotniejsze są ciała. Nadzy od pasa w górę prezentują giętką, jakby wykonaną z gumy, maszynerię mięśni, pokrytą gładką, opaloną skórą. Poruszają się niczym polujące koty, miękko, zwinnie, nieprzewidywalnie. Te ciała, zawsze zrównoważone, przy najbardziej nawet karkołomnych figurach tanecznych, sprawiają wrażenie precyzyjnych maszyn. Przykuwają wzrok. Jednak Capoeira to tylko taneczny przedsmak Salvadoru. Tym miastem rządzi samba. Naiwny, kto sądzi, że tego tańca można łatwo się nauczyć – to trzeba mieć we krwi. Ludzie tańczą tu wszędzie – na ulicach, placach, balkonach. Nieraz, gdy stanie się na skrzyżowaniu ulic, wpada się w samo centrum zwariowanej kakafonii – w każdej bowiem uliczce gra inny zespół. Szał. Nie trzeba patrzeć na twarze, wystarczy rzut okiem na stopy tancerza, by rozpoznać Brazylijczyka – ich kroki są nie do podrobienia – szybkie, zwinne, wprawiające całe ciało w muzyczną wibrację. Bawią się wszyscy – od kilkulatków uczeplonych maminych krótkich spódnic, po staruszków, którzy szaleją z nie mniejszą werwą niż młodzi. Roztańczonym krokiem wracamy powoli na jacht. Już same. Po drodze spotykamy miejscowych żeglarzy, którzy na migi wyjaśniają nam, że kobiety nie powinny spacerować nocą samotnie. Odprowadzają nas na jacht, cały czas coś nam opowiadając, oczywiście po portugalsku. To również charakterystyczna cecha Brazylijczyków – nieistotna jest dla nich bariera językowa, w swej serdeczności chcą się z obcokrajowcami jakoś porozumieć, więc opowiadają mnóstwo. Możemy jedynie grzecznie potakiwać, choć nie rozumiemy ani słowa, dla nich jednak chyba najistotniejsze są intencje.

Zasypiamy na jachtach w rytmie samby, której ciche echa dochodzą jeszcze z miasta. Zasypiamy ciężkim snem – cięży świadomość, że niedługo trzeba wypływać i opuścić to miasto. Miasto szokujących kontrastów, jaskrawych kolorów, miasto szalonej muzyki. I Brazylię... Ale przed nami ocean, kolejne tysiące mil... Czas będzie ruszyć w drogę.